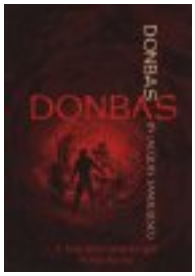
8 Sie 2006 godz. 15:26 napisał Pan Administrator

Jacques Sandulescu - *DONBAS* - urywki książki



Biblioteka Sztuk Walki
Jacques Sandulescu

DONBAS - urywki książki

Jacques Sandulescu urodził się w Rumunii w 1928 roku. Podczas drugiej wojny światowej był wzięty do niewoli przez wojska sowieckie i wywieziony do Donbas na przymusowe roboty. Miał wówczas 16 lat. Cudem przeżył niewolę, gdzie doznał głodu, zimna i wykonywał ciężkie prace. Dwa lata po tym, jak wywieziono go do Donbas, udało mu się uciec z obozu i dotrzeć do zachodnich Niemiec, okupowanych przez wojska USA. W 1950 roku wyjechał do Kanady. Tam pracował przez jakiś czas przy wyrębie lasu, a następnie zadebiutował na ringu bokserskim i postanowił zostać profesjonalnym bokserem. Potem odbył służbę w siłach zbrojnych USA i po demobilizacji, wstąpił na Sorbonę - prestiżowy uniwersytet francuski, gdzie studiował filozofię i literaturę. Po ukończeniu uniwersytetu powrócił do Nowego Jorku. Tam rozpoczął swoją działalność - otworzył bar i kawiarnię. Jednocześnie pisał książki i od czasu do czasu występował w filmach i spotach reklamowych. Jacques występował z takimi znanymi aktorami, jak Robin Williams, Barbara Straisand, Eddie Murphy, występował też w reklamach Coca-Coli, BMW czy Shell. W 1963r. spotkał założyciela karate Kyokushin Masutatsu Oyamę. Powstały między nimi ciepłe przyjacielskie stosunki. Jacques został uczniem Oyamy i pomógł nauczycielowi w rozwijaniu stylu Kyokushin w Ameryce. Obecnie Jacques jest doradcą Międzynarodowego Komitetu IKO.



MOJA PRZYJAŹŃ Z MAS OYAMĄ

Byli zwykłą bandą, która lubiła przychodzić do Greenwich Village niemal w // > //]]> tiny_mce/t // i ą noc i wybierać na chybił trafił restaurację lub klub, aby go sterroryzować. Dziś wieczorem ich Harleye były zaparkowane przed moją kawiarnią "Flamenco". Wewnątrz gitara milczała, wystraszone kelnerki i personel obsługi kulił się pod ścianą. Ulica lśniła od odłamków szkła. Herszt bandy rzucił cegłę w okno frontowe gdy kelnerka sprzeciwiła się ich odmowie zapłacenia rachunku. Właśnie wówczas weszliśmy tam z moim przyjacielem, świeżo po sześciu godzinach treningu. // // --> // -->]]>]]-->

Teraz odciągaliśmy ich dalej od kawiarni, daleko od świateł i tłumów Bleecker Street i wydeptanych policyjnych ścieżek, w dół do ciemnego, wąskiego zaułka, gdzie chcieliśmy rozwiązać tę sprawę naszym sposobem. Kiedy szliśmy, siedmiu z nich uformowało wokół nas koło. Powoli je zacieśniali, naśmiewając się z nas.

"Kim do cholery jesteście, żeby kazać nam wyjść?"- zaryczał ich lider.
"Jestem tu szefem. To moja własność.", powiedziałem spokojnie.
"Taaak? A kim jest brudny Japoniec?"

Spojrzałem na mojego przyjaciela i nasze oczy się spotkały. Jego oczy były głębokie i czarne i w świetle ulicznej latarni błyszczały podobnie do obsydianu. Ci, którzy znali Masutatsu Oyamę, znali też niesamowitą moc, którą promieniowały jego oczy. Oczy większości ludzi są rozbiegane lub zachmurzone, kiedy się zamyślają. Jego oczy były laserami czystej, skoncentrowanej woli. Jeśli byłbyś naprawdę głupim punkiem, jak ci faceci, mógłbyś nie zauważyć jego kocich ruchów, albo rąk ciężkich jak dwa kamienie i myśleć, że patrzysz po prostu na przysadzistego Azjatę średniego wzrostu. Ale nie mogłem uwierzyć, że nie zauważyli niebezpieczeństwa w jego oczach!

Herszt bandy sięgnął pod swoją kurtkę i zaczął odwijać z pasa ciężki łańcuch. Inny wywijał belką grubą dwa na cztery cale i przeciągnął nią po szczeblach żelaznego płotu powodując przeraźliwy hałas. Byli głupi, ale byli też żądni krwi, czerpali odwagę ze swojej liczby i z alkoholu w swoich żyłach. Sądzili, że łatwo im będzie pokonać dwóch nieuzbrojonych facetów.
Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Ja sam miałem kiepską reputację ulicznego wojownika . Nie tylko miałem sześć stop dwa i pól cala wzrostu i około dwustu dwudziestu funtów, byłem niegdyś profesjonalnym bokserem wagi ciężkiej znanym z obezwładniających ciosów, ale też wpad ałem w szał, gdy jakiś chuligan albo inny tchórz rzucał mi wyzwanie, a ja wiedziałem, że prawo jest po mojej stronie. Paru lokalnych gangsterów widziało któregoś razu, jak gołymi rękoma zdzierałem skórę z twarzy jednego faceta, a drugiemu pogruchotałem piętą żebra. Potem mi powiedzieli, że jestem "konkretnym" facetem, takim, którego należy szanować, a nawet się bać. Wiedziałem, że nadludzka siła może wydobyć się z człowieka w wielkim niebezpieczeństwie lub gniewie. Lecz sekret Mas Oyamy, który po mistrzowsku opanował, a który ja tak podziwiałem, polegał na tym, że był on w stanie przywołać swą siłę w każdej chwili i precyzyjnie ją skoncentrować. Ja miałem dziką siłę, a on posiadał najwyższą kontrolę.

Zaświstał łańcuch! Herszt bandy obracał nim w śmiertelnym kole i coraz bardziej zbliżał się do Kancho (tak nazywałem Oyamę). Widziałem, że jest gotów się z nim spotkać, spokojny i bez obaw. Czułem się bardzo szczęśliwy. On był najsilniejszym człowiekiem na ziemi i był moim przyjacielem.

Nie mogłem się opanować. Odrzuciłem w tył głowę i zawyłem upojony radością bitwy.

Kiedy poznałem Mas Oyamę, zapełniło się puste miejsce w moim życiu. Kiedyś miałem przyjaciela i sądziłem, że jest on najsilniejszym człowiekiem na ziemi. Nazywał się Omar, i gdy pracowaliśmy razem niewolniczo w kopalniach węgla Związku Radzieckiego, on uratował mi życie. Było to w 1947 roku, kiedy miałem osiemnaście lat, a on dziewiętnaście. Wkrótce potem uciekłem z Rosji i stopniowo przedostałem się do Kanady, zacząłem pracować na kolei, przy wyrębie lasu, a już w Stanach Zjednoczonych stałem się profesjonalnym bokserem wagi ciężkiej. Do 1960 roku, kiedy to w moim życiu pojawił się Kancho, odniosłem już sukces jako biznesmen, właściciel dwóch dobrze prosperujących kawiarni w cygańskim zakątku Nowego Jorku, "Flamenco" i "El-Gitano" (Cygan), z ludową muzyką i prawdziwym hiszpańskim flamenco. Podobnie jak każda silna osobowość, byłem okrążony kolegami i wrogami, konkurentami i intruzami, było także kilkoro dobrych przyjaciół, lecz nie było nikogo, kto zapełniłby miejsce pozostałe po Omarze. On był mi tak bliski jak brat i był więcej niż moim spowiednikiem, a ja nawet nie wiedziałem, czy żyje.

Nikt nie myśli o silnym jako o samotnym.

To, czego mi nigdy nie udało się pokazać ani wyrazić, wykrzykiwało za mnie flamenco. Lubiłem podstawowe, prymitywne cechy tej muzyki. Wydobywała się z głębi brzucha... zwykle głodnego brzucha, gdyż Cyganie, którzy ją tworzyli, nie mieli nic prócz swych namiętności. Jeden z moich przyjaciół, Augustino De Mello, był ekscentrycznym gitarzystą flamenco. Pewnej nocy w mojej kawiarni Augustino nie mógł przestać zachwycać się swoim nowym odkryciem: karate. "Spójrz na to" powiedział i pokazał mi książkę "Co to jest karate?". Na okładce jakiś mężczyzna pokonywał gołymi rękoma nacierającego byka. Augustino powiedział, że właśnie ten człowiek napisał książkę. Nazywał się Masutatsu Oyama.

Augustino spytał, czy chcę pożyczyć książkę. Będąc bokserem z zawodu a ulicznym wojownikiem z konieczności, oczywiście zainteresowałem się książką o technice walki. Ale gdy przyniosłem ją do domu, stwierdziłem, że była czymś dużo, dużo więcej. Nie można po prostu napisać takiej książki, trzeba nią żyć. Musiałem ją mieć. Natychmiast poszedłem do sklepu i kupiłem egzemplarz dla siebie. (Ciągle jeszcze go mam.)

Mimo, że byłem zdumiony wyczynami pana Oyamy, jego fizyczną mocą, kontrolą i szybkością, nadludzka siła nie była dla mnie całkowitą nowością. Pochodziłem z tej części świata, która rodziła bardzo silnych mężczyzn. W czasie pierwszej wojny światowej, mój własny ojciec wraz z jeszcze jednym żołnierzem podnieśli i przemieścili 600 kilogramowe działo. W Rosji, wychudzony przecież i głodny jak wilk, mogłem podnieść i przenieść 200 kg, a mój przyjaciel Omar był jeszcze silniejszy ode mnie. Po wojnie widziałem, jak uchodźca z Jugosławii ściska w pięści surowy ziemniak tak, że wodnisty miąższ przeciekał mu między palcami. Dlatego rozbijanie cegieł i kamieni gołymi rękoma nie było czymś, czego nie mógłbym sobie wyobrazić (i rzeczywiście, wkrótce sam to zrobię). Ale ludzki charakter dużo trudniej złamać. To, co zrobiło na mnie większe wrażenie, to ten długi czas, który pan Oyama spędził samotnie w górach, trenując. Wiedziałem wszystko o samotności, jak ogromnej potrzebuje determinacji. Zdecydowałem się uciec z Rosji samotnie, w warunkach, które racjonalny człowiek nazwałby niemożliwymi. Jak tylko zacząłem uciekać, mogłem wybierać tylko między dalszą ucieczką a śmiercią. Te kilka tygodni, których potrzebowałem, by zdobyć wolność, wydawało mi się wiecznością. A pan Oyama umyślnie odizolował się od społeczeństwa na 15 miesięcy, narażając się na poważne trudności i niedostatki, po to, żeby stać się silnym. To, że ludzka istota zrobiła coś takiego dobrowolnie i znalazła w sobie wolę i siły by się tego trzymać, przejmowało mnie grozą.

A teraz Augustino powiedział, że ten człowiek przyjeżdża do Nowego Jorku!

Trudno w to teraz uwierzyć, ale wówczas karate było niemal nieznane w Stanach Zjednoczonych. Ja sam, bokser z zawodu, niewiele o tym słyszałem. Tylko nieliczni żołnierze piechoty morskiej, którzy stacjonowali na Okinawie, mieli pojęcie o tej sztuce, a zaledwie kilku ją studiowało. Masutatsu Oyama postanowił to zmienić. Przyjechał już kiedyś do Ameryki, nie znając niemal nikogo w tym kraju i bez znajomości angielskiego, by zademonstrować fenomenalną moc karate. Teraz jego książka była przełożona na język angielski i mój przyjaciel Augustino był jednym z Amerykanów, którzy do niego napisali. Pan Oyama odpowiedział na jego list pisząc, że planuje kolejną podróż do Stanów. Augustino spytał mnie, czy nie chciałbym towarzyszyć mu podczas spotkania z panem Oyamą. Zastygłem z otwartymi ustami. Czy bym chciał? Jak on mógł pytać? Miałem tylko jedna odpowiedz: kiedy i gdzie?

Nadszedł ten dzień. Mieliśmy spotkać się z Mas Oyamą w nowojorskim hotelu, niedaleko znanego miejsca walk, Madison Square Garden, w niedzielę o trzeciej po południu. W naszej gorliwości przybyliśmy na miejsce 10 minut przed czasem. Zobaczyłem go w momencie, kiedy wchodziliśmy do holu. Był w ciemnych

okularach, lecz aura wokół niego była tak zniewalająca, że od razu wiedziałem, że to on. On także nas rozpoznał. Zdjął okulary i wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją - była ciężka jak skała. Miał szeroką, silną, twardą, miłą twarz, bardzo przystojną, i wyraziste czarne oczy, które, wydawało się, przenikają w samą istotę człowieka stojącego przed nim. Nie był zbyt wysoki, ale szeroki i mocny, i tryskał siłą.

Najdziwniejsze było to, że chociaż ledwie mogliśmy ze sobą rozmawiać, zrozumieliśmy się nawzajem natychmiast. Augustino, który nie był wojownikiem, a raczej intelektualistą, jak gdyby usunął się w tło. Tego pierwszego dnia wziąłem Kancho do chińskiej dzielnicy na przekąskę; miało się to stać naszą małą codzienną tradycją. Po jednej nocy spędzonej w hotelu przeniósł się do mnie. I jeśli nie liczyć krótkich pobytów w Brooklynie, gdzie Kancho miał ucznia, który służył w amerykańskich wojskach w Japonii, to przez cały swój sześcio- czy siedmiomiesięczny pobyt w USA spał na mojej kanapie.
Bardzo pragnąłem takiego towarzystwa.

Oczywiście, chciałem z nim trenować, uczyć się u niego, ale nie wiedziałem, jak o to zapytać. Kancho sam rozwiązał ten problem w ciągu dwóch czy trzech dni od swego przyjazdu. Znalazłem dla nas tłumacza, japońskiego studenta college'u o imieniu Yoshi, który mówił biegle po angielsku i zgodził się przyłączać się do nas codziennie na kilka godzin, tak, że teraz mogliśmy już z Kancho rozmawiać. Nigdy nie zapomnę, jak siedzieliśmy w chińskiej restauracji po raz pierwszy, kiedy Yoshi się do nas przyłączył. Kancho spojrzał na mnie i pierwszym pytaniem, które postawił, było: "gdzie możemy trenować?".

Godzinę później rozpocząłem moją pierwszą sesję treningową z największym autorytetem karate na świecie.

Ćwiczyliśmy w ładnej czystej sali gimnastycznej, położonej 10 minut od mojego mieszkania, którą od tej pory nazywaliśmy "dojo". Podczas tego pierwszego treningu zobaczyłem jak pot, a wraz z nim zadowolenie, pojawiły się na twarzy Kancho. Ku mojej wielkiej uldze okazał się zadowolony ze swojego nowego studenta - ze mnie - mimo, że nowe ruchy, tak różne od bokserskich, wydawały mi się niezdarne. "Dogi" miały długie spodnie, a do tego nie byłem przyzwyczajony. Początkowo wydawało mi się, że stoją mi na drodze, ale wkrótce już czułem się bez nich nagi.

Nasze pierwsze treningi były dwugodzinne, wkrótce przeciągnęły się do trzech-czterech godzin. Po dwóch tygodniach trenowaliśmy bez przerwy 5-6 godzin dziennie. Był to reżim niekończących się powtórzeń, ponieważ Kancho wierzył, że: "w powtórzeniach tkwi siła". Lecz to było dalekie od zwykłego powtarzania. W każde uderzenie, w każde kopnięcie wkładacie wszystko, co macie. Przypomniało mi to o ucieczce z Rosji - z jedną główną różnicą: Kancho i ja mogliśmy po treningu iść do chińskiej dzielnicy i dobrze i smacznie zjeść! Ale były też podobieństwa: kiedy jesteście w pełni wyczerpani i czujecie, że już dłużej nie wytrzymacie, wówczas sięgacie w głąb siebie po więcej. Koncentrujecie się w pełni na każdym uderzeniu, każdym kroku, a potem jeszcze następnym i jeszcze jednym i następnym. Walka o życie to nie to samo co dobrowolne trenowanie do granic wytrzymałości i poza nie. Ale zrozumiałem, że samotny trening Kancho wyostrzył w nim ten sam rodzaj determinacji, która mnie w swoim czasie utrzymała przy życiu.

Oczywiście wiedziałem więcej o Kancho dzięki lekturze jego książki, niż on wiedział o mnie. Pokazałem mu szramy na moich nogach, ale nie umiałem mu wyjaśnić, skąd się wzięły. Także kiedy był z nami nasz tłumacz Yoshi, nie mówiliśmy wiele o takich rzeczach. Kancho również opisał swój trening w górach zaledwie w kilku słowach, ale jeśli miało się wyobraźnię, można z nich było wyczytać bardzo wiele.

Zaledwie kilka osób wiedziało, że ja też opisałem historię moich dwóch lat więzienia w Rosji i mojej ucieczki. Chciałbym dać tę książkę Kancho, aby mówiła w moim imieniu. Ale była ona wówczas tylko rękopisem, nie była jeszcze opublikowana. A nawet gdyby była, Kancho nie czytał po angielsku. Mimo to, trenując razem, rozumieliśmy się lepiej niż za pomocą słów.

Pamiętam jak kiedyś poruszaliśmy się pięć kroków wprzód, przy każdym kroku uderzenie, potem nawrót i pięć kroków z powrotem. Do przodu.. uderzenie i kiai... obrót...krok i uderzenie i z powrotem. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Dostałem odcisków na stopach, pękły i wyciekła z nich woda. Pokazałem je Kancho. On tylko się uśmiechnął i zagrzmiał "gooooooood!". Czasem mówił: "Dziś specjalny dzień" a potem powtarzaliśmy tylko jedną technikę, np. jodan-tsuki, przez czterdzieści pięć minut. Kancho wpadał w rytm podobny do maszyny, nie męczącej się maszyny nie do zatrzymania. Po pewnym czasie, zadyszany, spytałem go "Ile?" ,a on napisał na tablicy w tylnej części dojo "5000". Zawsze czułem się silny, ale trenując z nim czułem się coraz silniejszy i silniejszy. I czułem także, że ten ciężki trening wzmacnia naszą przyjaźń.

A po treningu szliśmy do mojego mieszkania i braliśmy prysznic. Wieczorem nasz tłumacz Yoshi dołączał do nas w chińskiej dzielnicy i razem jedliśmy i rozmawialiśmy. Stopniowo Kancho poznawał język angielski. (Wiele lat później zawsze miał przy sobie tłumacza, kiedy mówił do niego jakiś zagraniczny kierownik sekcji lub dygnitarz; gość jednakże nie zdawał sobie sprawy, że Kancho rozumiał większość z tego, co było mówione po angielsku i w czasie tłumaczenia na japoński obmyślał już swoją odpowiedź.) Był zdziwiony, że wiem jak obchodzić się z chińskimi pałeczkami i opowiedziałem mu, że kiedy trenowałem jako profesjonalny bokser w Montréalu, mieszkałem z chińskim restauratorem o imieniu Harry Fong i płaciłem za mój pokój i utrzymanie zmywając naczynia.

Pewnego wieczoru w mojej kawiarni Kancho poprosił gitarzystę o jego instrument! Ku mojemu zdziwieniu zaczął grać i śpiewać z dużym wyczuciem, silną i smutną piosenkę. Poprzez Yoshi Knacho wyjaśnił mi później, że było to opowiadanie koreańskiego farmera o jego nie kończącej się pracy na polach i jego rodzinie. Utkwiłem wzrok w rękach Kancho. Jaką one miały siłę i mimo to jak lekko obchodziły się z gitarą! Zastanawiałem się, jakie jeszcze niespodzianki ma on dla mnie w zanadrzu.

BAM!!!

Uderzenie trafiło w środek mojej piersi z przeraźliwą mocą. Przypominało to zderzenie z pociągiem. Przez mgnienie oka wszystko widziałem podwójnie, usiłując złapać oddech. Oczywiście było to kumite, nasze pierwsze sparingowe spotkanie, i Kancho się kontrolował. Mogłem tylko sobie wyobrazić, do czego byłoby podobne realne starcie z jego pełną mocą, ale poniważ kocham życie, nie miałem najmniejszej ochoty sprawdzić tego na własnej skórze.

Jest kilka mitów na temat mojej przyjaźni z Kancho, później Sosai Oyamą, które powinienem rozwiać, nawet jeśli prawda Was rozczaruje. Wszyscy widzieliśmy tyle filmów akcji z Hollywood i Hong Kongu, że oczekiwanie na ciągłe eksplozje, walki i pościgi zniszczyło naszą wrażliwość na czasem bardziej subtelne dramaty realnego życia. Jeden z mitów mówi, że Kancho i ja stoczyliśmy krwawą walkę zanim zostaliśmy przyjaciółmi. Ta wersja daleka jest od prawdy, bowiem w rzeczywistości, co uważam za dużo bardziej zdumiewające, poznaliśmy się na sobie od pierwszego wejrzenia. To kompletny nonsens w stylu macho, że dwóch silnych mężczyzn nie może zostać przyjaciółmi, póki, jak koty, nie sprawdzą, kto jest silniejszy i w ten sposób wypracują wzajemny szacunek. Tak, musiałem zdobyć szacunek Kancho, nie ma co do tego

wątpliwości, ale dokonywałem tego przez trening z nim, mój wielki szacunek dla niego i to, kim byłem. Oczywiście sprawdzaliśmy się nawzajem w kumite, i czuliśmy swoją siłę, ale nie mieliśmy żadnej potrzeby sprawdzenia, kto kogo by zwyciężył w realnej walce. (Wiedzieliśmy: on by zwyciężył, ale nie byłoby to łatwe.) Oyama rozkoszował się naszym kumite dlatego, że ze mną, w odróżnieniu od większości partnerów sparingowych, mógł pracować z pełną siłą, nie bojąc się, że zrobi mi krzywdę.

Kiedy zostałem bokserem, nie mogłem uwierzyć w moje szczęście. Chcieli mi płacić duże pieniądze, żebym wszedł na ring i bił kogoś! To dla mnie coś naturalnego. Po tym, co przeżyłem, nie bałem się być uderzony, tym bardziej pięściami w dużych poduszkach. Wygrałem 17 z 19 pojedynków, 15 z nich nokautem, większość w pierwszych dwóch rundach. Podobnie do Mike'a Tysona miałem tendencję do miażdżenia przeciwnika od razu moim brakiem cywilizowanych "hamulców" i szaloną nieustraszonością. Również podobnie jak Tyson, musiałem się nauczyć, że sama siła nie wystarczy - konieczna jest sztuka, strategia i technika. Po sparingach z Kancho moje myśli wróciły do pierwszej wielkiej porażki, walki, która jako pierwsza dała mi porządną nauczkę.

W owym czasie odbyłem trzy pojedynki w Chicago, które było drugim miejscem po Nowym Jorku jeśli chodzi o wagę sportów walki. Do tego biłem się przeważnie w Minneapolis/ St. Paul, mieście rodzinnym mojego menedżera. Był on więc pod presją, żeby wszystkim pokazać, czego to ja mogę dokonać w dziesięciorundowym pojedynku w Marigold Gardens albo nawet w Chicago Stadium.

Załatwił mi walkę z czarnym zawodnikiem wagi ciężkiej Donem Jacksonem. Tak naprawdę nie byłem gotów na taką walkę. Był dużo bardziej doświadczonym zawodnikiem ode mnie, miał za sobą około 90 amatorskich i 25 profesjonalnych pojedynków. Ale usilnie trenowałem i wyszedłem z nim na ring i ...nie mogłem niczego zrobić. Jackson był zbyt szybki, był wszędzie. Jednak niezależnie od tego, ile razy lądowało na mnie jego szybkie, oszałamiające uderzenie, nie mógł zbić mnie z nóg. Ale zwyciężył przez nokaut techniczny.

Po tym biłem się z dwoma zawodnikami wagi ciężkiej w Chicago i znokautowałem ich obu w pierwszej rundzie. Jednym z nich był wysoki Teksańczyk Bob Thorne, którego zawsze lubiłem i szanowałem. Pamiętam, że uważałem walki za głupią grę, w której trzeba było zmierzyć się i ranić człowieka, z którym wolałoby się zaprzyjaźnić. Ale robiłem to. I do dziś tego żałuję. Potem mój menedżer ustalił mecz rewanżowy z Donem Jacksonem, dziesięciorundowy pojedynek w Minneapolis. Ciężko trenowałem, a mój trener, który obserwował i studiował pierwszy pojedynek, powiedział moim partnerom sparingowym, co mają robić. Mieli markować i rzucać prawą ręką w mój podbródek. Ja z kolei miałem czekać na mocne uderzenie, zblokować je, pochylić się i wbić mocnego lewego haka w wątrobę przeciwnika, a następnie wypuścić moją prawą rękę. Trenowałem jak opętany.

Przyszedł dzień walki. Arena była przepełniona. Wielu ludzi przyjechało z Chiacago do Minneapolis tylko po to, żeby zobaczyć mecz rewanżowy, także niektórzy przyjaciele mojego menedżera, bogacze z Nowego Roku, byli na sali. Podczas ważenia Don Jackson był wobec mnie nieco protekcjonalny. Miałem nadzieję, że to się wkrótce wyjaśni. Wreszcie znaleźliśmy się na ringu, tylko on i ja. Jackson spojrzał na mnie i uśmiechnął się, jakby to miała być powtórka. Skończyło się wprowadzenie. Zadzwonił gong. Rozpoczęła się walka. Jackson wyszedł ze swojego rogu tańcząc i zaczął wyrzucać w moim kierunku błyskawiczne uderzenia. Ja tylko chodziłem za nim. Uderzył mnie kilka razy, a ja przyjąłem ciosy, chcąc zwiększyć jego pewność siebie. Potem zobaczyłem, że przygotowuje się do silnego uderzenia... i zaczęło się. Odbiłem cios na bok - coś w rodzaju uchi-uke - lekko się pochyliłem i włożyłem całą swoją siłę w lewy hak w jego

żołądek. Potem nie musiałem już myśleć... moja prawa ręka zlądowała na jego podbródku. Obróciłem się i poszedłem do mojego rogu. Czułem uderzenie w mojej prawej pięści i wiedziałem, że on już nie wstanie. Sędzia ogłosił nokaut, a tłum oszalał. Mój menedżer promieniał. Później dowiedziałem się, że proponowali mu tej nocy 10 000$ za połowę mojego kontraktu. Te pieniądze w dolarach roku 1950 odpowiadałyby dzisiejszym 100 000$.

W pewnym sensie Don Jackson był moim nauczycielem. (I być może ja byłem jego.) Ale niedługo po tym, jak z nim walczyłem, powołano mnie do wojska USA i moja kariera bokserska została przerwana - i tak już zostało. Im więcej uczyłem się podczas kumite z Kancho Oyama, tym bardziej rozumiałem, jak niewiele wiem i jak bardzo on mnie przerasta. Pewnego razu powiedział mi, że jeszcze nigdy nie spotkał nikogo, kto trenowałby tak ciężko jak on. I wiem, że pozostało to prawdą do końca jego życia.

Inny mit, który powinienem rozwiać, to historia przytoczona w książce Shihan Camerona Quinna. Napisał on, że obserwując, jak Kancho rozbija jedną cegłę, zapytałem go: "Czy jeśli ja złamię dwie, dacie mi drugiego dana?" a następnie rozbiłem dwie cegły. Po pierwsze, przez ponad 30 lat naszej przyjaźni, nigdy nie prosiłem Kancho o żaden stopień ani awans. Prędzej bym umarł. Uważam, że o takie rzeczy nie należy prosić i byłem zakłopotany zachowaniem niektórych zagranicznych kierowników sekcji, którzy domagali się wyższego dana od Sosai Oyamy lub Kancho Matsui, lub żalili się z powodu nie uzyskania awansu, na który uważali, że zasłużyli. To nie ich rzecz, żeby osądzać, na co zasługują. Powinni trzymać zamknięte usta i trenować.

Po drugie, prawdziwą cegłę (przy której nikt potajemnie nie manipulował) nadzwyczaj trudno rozbić, dużo trudniej niż cegłę cementową. Tylko taki bóg karate jak Mas Oyama mógł rozbić dwie. Podczas swojego pierwszego pobytu w Ameryce walczył i zwyciężał przeciwników, przede wszystkim zapaśników, ale tym razem właśnie swoimi zadziwiającymi wyczynami "tameshiwari" Kancho chciał zademonstrować fantastyczną moc karate i zrobić wrażenie na amerykańskiej publiczności.

Załatwiłem z przyjacielem transmisję pokazu w telewizji, dla kanału 7, stacji Nowego Jorku sieci ABC. Na tydzień przed wyznaczoną datą pokazu, Kancho rozbił kilka cegieł w naszym dojo dla rozgrzewki. Potem ustawił następną cegłę i powiedział: "Teraz ty. Proszę." Kancho powiedział mi, jak rozwijać mięśnie shuto uderzając w drewnianą belkę (2x4) pięćset razy. Robiłem to samodzielnie, a on zauważył moje postępy. Teraz w kilku słowach powiedział mi, że kluczem do tameshiwari, podobnie jak kluczem do przeżycia podczas walki, jest koncentracja umysłu, determinacja i pewność siebie. "Tylko ty i cegła" powiedział do mnie swoim angielskim "Tylko ty... i cegła". Nigdy wcześniej nie rozbijałem cegły, ale skoncentrowałem się, uderzyłem, ..i złamała się. Kancho, zamruczał z dumą; "Ooo! Mój uczeń! Ty bardzo silny."

Pierwsza część jego pokazu miała być filmowana na świeżym powietrzu, w Central Parku. Kancho nalegał, żebym mu asystował. Przyprowadziliśmy także naszego studenta tłumacza, Yoshiego. W publicznej toalecie w parku Kancho przebrał się w swoje dogi. Kiedy wychodziliśmy, wziąłem ze sobą jego ubranie. Na trawiastej polance Kancho rozciągał się i wykonywał uderzenia, w czasie kiedy ekipa telewizji ustawiała swoje urządzenia. Zebrało się nieduże audytorium, ciekawscy, którzy spacerowali po parku i zostali zwabieni przez grupę operatorską ABC i ich samochód. Asystent reżysera zapytał, kiedy mogliby zacząć filmować. Kancho powiedział: "W każdej chwili!"

Zaczął od wykonania kilku kata, najpierw podstawowe Pin-any a następnie (o ile dobrze pamiętam)

Seienchin i Kanku-Dai, robiąc na obserwatorach wrażenie swoim spokojem, majestatyczną siłą i niesamowitą szybkością. Kiedy spojrzał na stojące w pobliżu drzewo, które miało pień o średnicy około dwóch stóp, Yoshi i ja wiedzieliśmy co robić. Przywiązaliśmy ręcznik wokół pnia drzewa, mniej więcej na wysokości ramion Kancho, formując makiwarę. Kancho zaczął uderzać pięścią w drzewo. Pah....pah.... pah... Jego niskie, mrukliwe kiai mogłoby pochodzić z wnętrzności tygrysa. Ponieważ moc Kancho z każdym uderzeniem zwiększała się, usłyszeliśmy rytmiczny szelest z góry. Operatorzy i widzowie zadarli do góry głowy. Liście i gałęzie drzewa poruszały się z każdym uderzeniem! Zdumione spojrzenia na twarzach operatorów ABC mówiły za siebie. Ta fantastyczna moc musiała pochodzić z innego świata.

W końcu Kancho rozejrzał się i podniósł z ziemi dwa kamienie. Kiedy starannie układał jeden na drugim, a potem wydawał się je studiować, tłum zamarł. Nikt nie wydobył dźwięku. Kancho dotknął górnego kamienia swoim shuto a potem jednym nagłym uderzeniem rozbił je oba. W totalnej ciszy eksplodowały szalone oklaski. Kancho był przy tym dość nieśmiały, ale ukłonił się. Ekipa telewizji była rozradowana i pod bardzo dużym wrażeniem.

Wywiad miał być nagrany na taśmę w studio. Poszliśmy z powrotem do publicznej toalety, żeby Kancho mógł przebrać się w jego zwykłe ubrania. Naturalnie przez to, że występował boso, jego nogi pobrudziły się. W łazience nie było niczego prócz bieżącej wody. Pomyślałem o tym i wziąłem ze sobą pół rolki papierowych ręczników. Rozłożyłem je na podłodze tak, żeby Kancho po wymyciu nóg mógł stanąć na czystych papierowych ręcznikach, a następnie założyć skarpetki i buty. Nigdy nie widziałem takiego uznania ze strony kogokolwiek za tak prostą czynność wyrażającą troskę.

Niegdyś harowałem niewolniczo ramię przy ramieniu z Omarem w rosyjskiej kopalni. Teraz trenowałem ramię przy ramieniu z Kancho. Po raz drugi w moim życiu, wspólna praca i pot rozwijały przyjaźń silniejszą niż zwykła. Ale nic tak nie spaja trwałego związku pomiędzy dwojgiem ludzi jak ogień niebezpieczeństwa, które im grozi.

Ulica była moim żywiołem, a od czasu do czasu moim polem bitwy. Była kolejną rzeczą wspólną dla mnie i Kancho. Obaj wyrastaliśmy w dobrych rodzinach, lecz zostaliśmy pozostawieni samym sobie w wieku kilkunastu lat i zmuszeni nauczyć się przeżyć i rozwijać się bez opieki. Czy możecie sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy możecie liczyć tylko na siebie, na wasze własne dwie pięści i rozum, a nie na pomoc rodziny, waszej firmy czy policji? Jeśli tak, to możecie sobie też wyobrazić, jakim luksusem była dla mnie i Kancho świadomość, że możemy liczyć na siebie nawzajem.

Kiedy wróciliśmy z treningu tej gorącej jesiennej nocy i ujrzeliśmy blask rozbitego szkła, usłyszeliśmy krzyk moich klientów, nie było na świecie nikogo innego, kogo wolałbym mieć przy sobie. Widziałem, że Kancho ocenił siedmiu punków tak samo szybko i ze znajomością rzeczy, jak ja. Odciągając ich od kawiarni, ustawiliśmy się jak dwóch rycerzy jadących na bitwę. On poruszał się z przodu, jego skromne gabaryty usypiały ich czujność, jego azjatycka twarz zaogniała ich zdradzające ignorancję uprzedzenia. Ja kryłem jego plecy.

Ciężki łańcuch herszta bandy krążył, jak śmiertelne ostrze piły, coraz bliżej głowy Kancho. Z nogami mocno stojącymi na asfalcie, Kancho kołysał się i pochylał głowę w rytm łańcucha. I nagle skoczył wprzód w łuk zataczany przez łańcuch. Zbyt szybko aby to zobaczyć, jego prawa ręka wystrzeliła naprzód i porwała łańcuch z powietrza. Szarpnął go do siebie i wbił w splot słoneczny herszta swoją lewą pięść. "Uuuch!!" Powietrze eksplodowało z obślizgłego punka, który wyłożył się jak długi na ulicy. Spojrzałem

na Kancho. Jego czarne oczy świeciły dziką radością walki.

Przez ułamek sekundy pozostali zaszokowani tym, co zobaczyli, zawahali się. Potem dwóch z nich chwyciło mnie za ręce, a trzeci próbował uderzyć mnie pięścią w żołądek. W tym samym czasie facet z wielkim brzuchem wywijał w stronę Kancho grubą drewnianą belką jak gigantycznym kijem baseballowym. Opierając się o trzymających mnie d wóch bandytów, wyrzuciłem obie nogi w twarz tego, który chciał mnie uderzyć, potem wyszarpnąłem się i okręcając się w lewo i prawo, zmiażdżyłem urakenem twarz jednego i wbiłem w żebra łokieć drugiemu. Moje ruchy były jak ze stali dzięki tysiącom powtórzeń w dojo. Czułem chrupanie kości i chrząstek i słyszałem pomruki bólu i wściekłości. Kancho tymczasem pozwolił punkowi wymachującemu belką przybliżyć się do żelaznego parkanu. Przez chwilę stał nieruchomo i tłuścioch z mrożącym krew w żyłach krzykiem uderzył belką w dół jak siekierą - ale Kancho już tam nie było. Jeden koniec drewnianej belki wylądował na gwoździach płotu i Kancho z kiai pochodzącym jakby z wnętrza ziemi rozłupał ją swoim shuto. Potem wbił przerażające mae-geri w delikatne podbrzusze tłuściocha. W tej samej chwili usłyszałem odgłos charakterystyczny dla skóry. Rozejrzałem się. Wysoki, cherlawy chłopak z pryszczatą skórą i ogonem szopa zwisającym u pasa, wyciągnął obrobiony kością nóż myśliwski i jednym ruchem rzucił go prosto w Kancho. Wszystko to zdarzyło się błyskawicznie, znacznie szybciej, niż można o tym opowiedzieć. Nie zastanawiając się uderzyłem shuto w rzucającą nóż rękę, jakbym łamał cegłę. Poczułem trzask kości, ale nóż już leciał, zmieniając tor zaledwie cal, gdy opuszczał końce jego palców. Wrzasnąłem "Kancho!". Zareagował natychmiast i nóż świsnął obok niego.
Później żartował, że nóż przeleciał wystarczająco blisko, żeby mógł się nim ogolić, tyle że będąc Japończykiem, nie bardzo tego potrzebuje.

Herszt wciąż jeszcze leżał na ziemi. Ten którego Kancho kopnął, próbował odpełznąć od nas jak najdalej. Pozostałych pięciu zataczało się, potykało i uciekało, kurczowo ściskając potłuczone miejsca. Przy krawężniku stał pojemnik na śmieci. Spojrzałem na Kancho, wziąłem herszta bandy za pas, podciągnąłem go do góry i wcisnąłem go głową w dół do pojemnika. Nagle usłyszałem policyjne syreny, były coraz bliżej. Najwyższy czas zniknąć.

Kancho spojrzał na mnie i uśmiechnął się: "Pójdziemy coś zjeść, dobrze?" I tak też zrobiliśmy.

Nadciągała jesień, robiło się coraz zimniej, a ja zauważyłem, że Kancho nadal nosi tę samą letnią odzież. Uciekłem z Rosji bez ciepłego ubrania. Nie mogłem czuć się dobrze, kiedy mój przyjaciel nie miał ciepłego ubrania, które ochroniłoby go przed nowojorską zimą. Naprzeciw mojej kawiarni pracował świetny włoski krawiec, którego dobrze znałem. Pewnego poranka spytałem go: "Czy mógłby Pan ubrać mojego przyjaciela?" Powiedział: "Niech Pan wpadnie z nim później, po piętnastej." Tego dnia skończyliśmy wcześniej. O czternastej siedzieliśmy już w naszej lokalnej chińskiej restauracji, jedząc zupę groszkową i podwójne porcje chińskich warzyw gotowanych na parze. Potem zaprowadziłem Kancho do włoskiego krawca. Znaleźliśmy mu garnitur, który pasował jak ulał, ładne ciepłe wełniane palto i płaszcz przeciwdeszczowy. W sklepie obuwniczym w tym samym budynku kupiłem mu parę czarnych i parę brązowych butów. Później wybraliśmy podkoszulki, spodenki i skarpetki. Wówczas poczułem się lepiej. Po tym wszystkim, co Kancho mi dał, nie potrzebowałem żadnej wdzięczności z jego strony. Widziałem na jego twarzy, co czuł. "Ja nigdy zapominam" powiedział.
I nigdy nie zapomniał.

Ponieważ zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, Kancho zaczął mówić o wyjeździe do domu.

Od czasu do czasu dzwonił do rodziny i do swojego dojo. Nalegał, żebym przyjechał i towarzyszył mu, gdy następnym razem jego dojo będzie gospodarzem turnieju Kyokushin w Tokyo. Opanował mnie smutek, jego również, gdyż obaj wyczuwaliśmy nadchodzące rozstanie. Ale nasza przyjaźń miała przetrwać do końca jego życia - a nawet dłużej. W rzeczywistości z czasem stawała się coraz mocniejsza.

Przed wyjazdem z Nowego Jorku Kancho chciał zrobić jeszcze jeden publiczny pokaz, aby pokazać, czym naprawdę jest Kyokushin. Wiedziałem co znaczył dla niego Madison Square Garden, Mekka sztuk walk, więc wykonałem kilka telefonów. Od czasów mojej kariery bokserskiej znałem kilku ludzi związanych z Madison Square Garden. I rzeczywiście, zarezerwowali dla Kancho Ogród na sobotnie popołudnie. Mieliśmy dwa tygodnie, żeby rozprzestrzenić informację o występie Kancho w Ogrodzie. Pewien mój znajomy, niejaki pan Friedman, który był pułkownikiem w siłach zbrojnych w Korei i podobno wiedział co nieco o karate, obiecał, że wraz z kilkoma przyjaciółmi poprowadzi profesjonalną dynamiczną kampanię reklamową. Brzmiało to bardzo dobrze.

Ale jak się okazało, pan Friedman i jego przyjaciele nie zrobili żadnej reklamy - a jeśli zrobili, to bardzo kiepsko im to wyszło. W dniu pokazu Kancho, Medison Square Garden był zaledwie w połowie pełny. Ale Kancho wykonał zapierający dech w piersiach pokaz. Łamał kamienie, cegły i belki takie jak ta, którą został zaatakowany. Walczył z pięcioma karatekami z dojo w New Jersey, któremu rzucił wyzwanie. I jak się okazało, Kancho zdobył dużo większą publiczność, niż Madison Square Garden mógł pomieścić: "New York Times" ozdobił nagłówek swojej strony sportowej napisem: "NAJTWARDSZY CZŁOWIEK NA ŚWIECIE"

W szatni Kancho po pokazie zobaczyłem drogi kapelusz, który należał do pana Friedmana. Byłem tak zły na niego za złamanie obietnicy, że wziąłem kapelusz. Po pokazie świętowaliśmy w mojej kawiarni "El Gitano" - miała teraz nowe szyby w oknach - i tam pokazałem kapelusz Kancho. Spojrzał na niego, spojrzał na mnie, mrugnął figlarnie - i splunął w kapelusz! Natychmiast zrobiłem to samo. Potem poinstruowaliśmy kelnerkę, żeby zabrała go z powrotem do pana Friedmana i jak dwóch dzieciaków czekaliśmy, aż założy go na głowę.

Krótko przed tym, jak Kancho wyjechał do Tokyo, spotkał znanego japońskiego dziennikarza z Organizacji Narodów Zjednoczonych, pana Sho Onederę. Pan Onedera był całkowicie dwujęzyczny, doskonale władał zarówno angielskim jak i japońskim. I wówczas dałem mu swój rękopis, w którym pisałem o moich doświadczeniach. Przeczytał go, tę książkę, którą właśnie macie przed sobą, i opowiedział Kancho moją historię. Kancho spojrzał na mnie i powiedział: "Ach, teraz Cię wreszcie rozumiem."

Chciałbym bardzo, żeby był tu ze mną, gdyż teraz wreszcie mógłby sam przeczytać moją książkę.